

To był dobry wieczór... Wizyta w Radomiu

Rozwój komunikacji samochodowej powołał do życia tak zwane obwodnice. Są to dobudowywane do głównych traktów nitki dróg, które pozwalają omijać miasta. Fatalne: ten wynalazek zwiększa bezpieczeństwo, lecz, niestety, zubaża naszą wiedzę o kraju.

I tak oto rośnie coraz więcej miast, które można nazwać miastami „przy drodze” lub „po drodze”. Dla przykładu w drodze do Zakopanego omijamy Nowy Targ, na którego ładnym rynku można było pogapić się na wesele góralskie i zjeść najlepsze w Polsce lody u Wróbla; w podróży do Gdańska zostawiamy z boku piękną Nidzicę, a gdy przyjdzie jechać do Krakowa, umyka nam Radom, bo znowu obwodnica wrzuciła go na skraj naszej drogi. Pojechałem tam ostatnio, by na nie popatrzeć i przyjrzeć się teatrowi, który sprawia od 1978 Zygmunt Wojdan.

Nie jest to miasto, w którym mógłbym, tak jak w Toruniu, zakochać się od pierwszego wejścia. Teatr jednak można polubić. No i jego publiczność, która dla krytyka jest samą radością. Bo, po pierwsze, prawie codziennie dość szczerze wypełnia krzesła dwóch widowni, po drugie — składa się przede wszystkim z młodzieży. Nie takiej, jak to bywa w Warszawie, właściwie dość aroganckiej, lecz grzecznej, i skupionej. Z dziewczętami ubranymi w białe, odświętne bluzki, i z chłopakami w spodniach świeżo, na ostry kant, odprasowanymi. Dla takich gości warto robić teatr i warto w nim harować.

Bo w Radomiu aktorzy prawdziwie harują. Dwudziestoosobowy zespół obsługuje, jak już wyżej wspominałem, dwie sceny, a premiery idą jedna po drugiej. W tym czteroletnim, samodzielnym bycie, Teatr im. Kochanowskiego dał już 29 premier, prezentując dobrych autorów i dobre tytuły.

Aktorzy jednak kochają pracę, nikt więc z tego powodu nie narzeka. Zapobiegliwa zaś dyrekcja w osobach wspomnianego Zygmunta Wojdana i szefa administracyjnego Mirosława Kustry, ma w pamięci i inne ludzkie sprawy, tak, że teatr dostał od miasta aż trzydzieści mieszkań.

No więc, w czasie mojej wycieczki do Radomia obejrzałem dwa przedstawienia, tak różne, jak różnorakie są próby budowania przez teatr swojego repertuaru. „Madame Sans-Gêne” Antoniego Maitlandowa i Janusza Mankiewicza (według klasycznego tekstu pana Sardou) oraz „Emigrantów” Sławomira Mrożka. Oba spektakle prawie przy komplecie widzów! A były to przedstawienia powszednie, nie jakies tam odświętne. Te pierwszą sztukę wyreżyserował Andrzej Konic, tę drugą Zygmunt Wojdan.

Jak wiadomo ze słowników, „Madame Sans-Gêne” narodziła się w tym czasie, gdy w teatrze istniała harmonia między jego jaskrawym przepychem, iluzją nieba na suficie, złocistym obramowaniem sceny, purpurową kurtyną, pluszami w łóżkach i eleganckimi toaletami pań. Nie widzę ostatnio w naszych teatrach dam z upudrowanymi ramionami. A Sardou, a jego sztuka trwa. „Bonaparte jest w niej kukiełką — ozdobiona wstęgami i orderami, nie jest wielki, ale jest prawdziwy. Madame Sans-Gêne nie jest prawdziwa, ale jest wielka”. Tak to arcytrafnie pisał o tej komedii, w roku 1925 Antoni Słonimski Grała wtedy rolę tytułową sławna aktorka, pani Przybyłko Potocka. Po niej, zresztą i wcześniej jeszcze, za krakowskiej dyrekcji Tadeusza Pawlikowskiego, M.S.-G. kreowały wielkie aktorki.

Radomskie przedstawienie jest sympatyczne. Biegnie w dobrym tempie, jest niezłe śpiewane (muzyka Stefana Kisielewskiego), wspomaga je ładna scenografia Karola Jabłońskiego i choreografia Barbary Fijewskiej. W roli tytułowej temperamentna i urodziwa Grażyna Suchocka zdobywa sympatię widowni. Napoleona (Konrad Fulde) wolalibyśmy jednak znaleźć bez farsowych przejawów, wkradają się one dość często w grę aktorów podczas ostatniej części spektaklu. A już bardzo mi zabrakło liryczniejszych tonów w najlepiej napisanej sekwencji sztuki, w sławnej scenie spotkania M.S.-G. z Cesarzem.

To, co wyżej, było w godzinach popołudniowych, na dużej scenie; wieczorem zaś, w sali kameralnej „Emigranci”, i dobra niespodzianka. Świetny przejmujący spektakl, postawiony reżysersko przez Wojdana i biyskotliwie zagrany przez Cesarza Kazimierzowskiego (AA) i Włodzimierza Mancewicza (XX). Pisaliśmy już nieraz o tej sztuce Sławomira Mrożka, teraz przyjdzie jeszcze dodać, że oto najnowsze nasze losy dopisują do niej nowe znaczenia i odniesienia. Doprawdy, to był dobry wieczór, to był dobry teatr.

KIEDY wyszedłem na ulicę przyspionego już miasta, wisiał nad nim jesienno rozpakany grudzień. Zaczynało deszczem, ostatni przechodnie śpieszyli do domów. Przed teatrem jednak stała cierpliwie grupka młodych ludzi, którzy przed chwilą wyszli z „Emigrantów”. Chyba czekali na aktorów, by zdobyć ich autografy. Może jednak pokocham Radom...

R. K.